

Doświadczyli tego na własnej skórze Jan Tomaszewski, Antoni Szymanowski i Jerzy Gorgoń. Zbigniewa Bońka z udziału w zimowym zgrupowaniu w Jugosławii wyłączyła choroba (zakaźna żółtaczka). Kadrowicze już w tej fazie przygotowań zaimponowali niezłą sprawnością fizyczną. Odradza się reprezentacja?

Wiążącą odpowiedź na to pytanie miał dać mecz o punkty z Danią w Kopenhadze. Siłę rywali znaleźliśmy już dość dobrze, wszak szef naszego „banku informacji” Bernard Blaut w czasie meczu Bułgaria – Dania zebrał o nich moc niezbędnych informacji. Był optymistą, nie ukrywam, że ja również, mimo że trener Duńczyków, Kurt Nielsen na moje pytanie w Sofii „kto wygra te eliminacje”, bez cienia wątpliwości odpowiedział:

– Jak to kto? Dania! Bo ma najlepszych piłkarzy w Europie...

Towarzyszyłem Blautowi w tej wyprawie do Bułgarii, jednak reprezentowałem tam redakcję „Piłki Nożnej”, a nie Wydział Szkolenia PZPN. Stąd na potrzeby redakcji moja rozmowa z selekcjonerem Duńczyków. Był pewny siebie i swoich podopiecznych. Jednak nie zdołał nas „rozmiękczyć”. Spostrzeżenia Benia i moje były takie same – Danię nawet na jej terenie można pokonać! Zakładamy bowiem, że nasi zagrają tam równie dobrze, jak z Portugalią w Porto.

Jacek Gmoch pozostawał wierny swojej filozofii tworzenia reprezentacji: *„każdy piłkarz ligowy jest potencjalnym reprezentantem”*. W końcu marca 1977 roku zorganizował więc, co wielu szkoleniowcom wydało się pociąganiem ryzykownym, mecz typowo selekcyjny POLSKA A – POLSKA B. Głosy krytyczne zbył milczeniem, robił swoje. Tym razem upiekł nawet dwie pieczenie na jednym ogniu: poddał reprezentacyjnej próbie 32 zawodników, a ludziom dobrej woli ułatwił przekazanie dochodu z tego widowiska (35 tysięcy publiczności!) na Społeczny Fundusz Budowy Centrum Zdrowia Dziecka. Kadra A utożsamiana ze składem na mecz w Kopenhadze rozgromiła kolegów z kadry B, mającej symulować reprezentację Danii aż 6:1. „Duńczycy” jednak źle zrozumieli

swoją rolę, bardziej pomagali, niż przeszkadzali „Polakom”, stąd tak wysoki wynik. Najwięcej bramek zdobył Kazimierz Deyna. Jest w formie! To dobrze. Będzie jeszcze lepiej, jeśli w równie dobrej dyspozycji dołączy do niego Włodzimierz Lubański.

Omawialiśmy przebieg tego wydarzenia na zebraniu prezydium Wydziału Szkolenia. Gmoch nie ukrywał zadowolenia, jego opinię podzieliła większość obradujących, tylko trener Ryszard Koncewicz miał obiekcje:

– Jacek! – powiedział mocno akcentując każde słowo. – Gdybym ja był na twoim miejscu, to po tym, co zaprezentowali obrońcy obu zespołów, nie mógłbym spokojnie spać po nocach. Zespół B stracił sześć bramek, a ten A strzelił sobie samobójczego gola. Czy to normalne? Czy oni wszyscy byli trzeźwi?

– Spokojnie trenerze – odpowiedział Gmoch – bez insynuacji. Jestem dużo młodszy, tylu kłopotów co pan w przeszłości jeszcze nie przeżyłem, przeto nie muszę korzystać ze środków nasennych. Śpię dobrze. Wiem, co robię...

To wszystko, co dotychczas zrobił Gmoch, było tylko i wyłącznie... próbną konstrukcją. Kiedy stanie okazały gmach? Tylko konsultacje, gry kontrolne, fingowane mecze... Część wątpliwości usunął już wygrany mecz z Rumunią B w Płocku, bo tam w naszym zespole pojawili się wreszcie Jan Tomaszewski i Włodzimierz Lubański. Pogodny nastrój ponownie zmąciła przegrana z Węgrami w Budapeszcie 1:2, ale lamentu nie było. Dziwił tylko brak stabilizacji, bo Gmoch wciąż eksperymentował. Raz Szarmach grał w pomocy, kiedy indziej Lubański był próbowany w drugiej linii, a teraz „Diabeł” przykuty do ławki rezerwowych. Który z nich zagra w Kopenhadze?

Generalną próbą przed pojedynkiem „biało-czerwonych” z Danią na Idraetsparken był mecz z Irlandią w Dublinie. Niestety, nie doleciał tam Lubański i znowu bez odpowiedzi pozostało pytanie: – Lubański czy Szarmach w środku napadu? Wątpliwości w pełni uzasadnione, bo z Irlandią nikt z tercetu Lato-Szar-

mach-Terlecki nie zdołał strzelić bramki. Ofensywna mizéria Polaków ucieszyła Kurta Nielsena, który z całym swoim sztabem zjawił się w Dublinie. Nadal był pewny siebie: – Schrupiemy Polaków w Kopenhadze, jak pieczone gołąbki...

Gmoch nie ukrywał, że bawią go te przechwałki. Wierzył w Lubańskiego.

– Już raz przekonałem oponentów, że powrót Włodka wpłynie pozytywnie na ogólną atmosferę w drużynie, podbuduje chłopców psychicznie. Rozdziobią Cypr, jak sępy padlinę! I tak się stało. Ale to był dopiero początek. Teraz Lubański też będzie strzelał bramki. Już w Kopenhadze! Zaskoczę tego pyszałka Nielsena – ripostował Jacek.

Wizja naszego selekcyjnera w teorii być może marzycielska, nie pozbawiona też ciągotek mocarstwowych, jednak w praktyce okazała się realna i skuteczna. Włodek strzelił w Kopenhadze dwie bramki i Polska wygrała tę próbę nerwów 2:1. Potem przyszło gładkie 3:1 z Cyprem w Limassol i w nagrodę za dobrą postawę w pierwszej połowie sezonu – wyjazd do Ameryki Południowej. Taki rekonesans przed Mundialem w Argentynie to był dobry pomysł. Ale czy my na pewno tam będziemy? Gmoch nie miał wątpliwości, jego zaufany Wiesław Grabowski z sekcji reprezentacji przebąkiwał nawet o szturmie na mistrzostwo świata. Wygrane w Limie z Peru 3:1 i w La Paz z Boliwią 2:1 mogły nawet na to wskazywać, ale po wpadkach z Argentyną i Brazylią przyszło opamiętanie. Obie gry nieudane – tu i tam 1:3! Tak kończyła się dla reprezentacji wiosna 1977. Jaka będzie jesień?

Zaczął się od dwóch przegranych spotkań towarzyskich – z Austrią w Wiedniu 1:2 i z ZSRR w Wołgogradzie 1:4. Byłem z drużyną w tej historycznej „twierdzy Stalingrad”. Od tej strony wyprawa nad Wołgę była udana, zwiedziliśmy bowiem „sowiecką świętość” Kurhan Mamaia i na własne oczy zobaczyliśmy poharatany dom (celowo nie restaurowany), którego w bitwie stalingradzkiej nie mogli zdobyć Niemcy. To bardzo blisko Wołgi, najdłuższej rzeki

w Europie. Ogromne nadbrzeże robi wrażenie niecodzienne. Natomiast gra naszej drużyny była fatalna, moim zdaniem znacznie gorsza, niż podczas pamiętnego 0:3 w roku 1957 w eliminacjach mistrzostw świata. Przegrał przede wszystkim Gmoch, znowu niesiony potrzebą eksperymentowania i sportowego kamuflażu. Bez Tomaszewskiego, Szymanowskiego, Gorgonia, Deyny, Kaspercza, Lubańskiego i Szarmacha takiego meczu wygrać nie można! Dziwna filozofia tworzenia drużyny.

Dwa tygodnie później z Danią w Chorzowie było jednak 4:1 dla Polski. Metamorfoza? Przede wszystkim mocno zmieniony, oczywiście na lepsze, skład naszej reprezentacji. Z potencjalnych kandydatów zabrakło tylko Szymanowskiego i Gorgonia. Bramki zdobyli: Deyna, Lato, Masztaler i Szarmach. Mocne uderzenie „starej wiary”. Teraz trzeba jeszcze co najmniej zremisować z Portugalią i Argentyna nasza! Łatwo nie było, między innymi dlatego, że znowu zabrakło Włodka. Dobrze grał jednak nasz kapitan, Kazimierz Deyna, w 56 minucie strzelił bramkę (bezpośrednio z rzutu różnego), prowadziliśmy więc 1:0. Radość w naszych szeregach. Ale gdy w 61 minucie Manuel Fernandez wyrównał na 1:1, entuzjazm nieco osłabł. Zaczął się piłkarski horror...

Portugalczyki zagrali w Chorzowie lepiej, niż w Porto, rozsądnie taktycznie, także z większą ambicją i determinacją. Postawili wszystko na jedną kartę, wszak „urządzało” ich tylko zwycięstwo. Remis nam torował drogę do Buenos Aires. W końcowych minutach to „zwycięskie 1:1” zaczęło się wymykać. Scenariusz zbliżony do pamiętnego boju na Wembley. Gmoch, broniąc wyniku, w 83 minucie w miejsce zmęczonego Deyny, świadomie wprowadził do gry skuteczniejszego w defensywie Jana Erlicha. Nie zawiódł, a że wciąż świetnie grał stoper Żmuda, pewnie bronił Tomaszewski, satysfakcjonujący nas remis piłkarze utrzymali do końca! Mamy trzeci w historii PZPN awans do finałów mistrzostw świata. Kapelusze z głów przed Gmochem!

Jacek się cieszył, biegał od zawodnika do zawodnika i każdemu z osobna dziękował. Kazia Deynę ucałował, pocieszał, współczuł mu i przeproszał za chamskie zachowanie widowni. W cywilizowanym świecie piłkarskim takie rzeczy się nie zdarzają. Strzelca jedynej bramki dla Polski, jednego z najlepszych zawodników na boisku, kapitana drużyny ubranej w stroje narodowe, praktycznie przez całe spotkanie śląska publiczność wygwizdywała. Także wtedy, gdy zdobył bramkę i kiedy schodził z boiska. Obłąd! Jakaś paranoja. Kompleksy stolicy? Nienawiść do Legii? Brak poszanowania dla wybitnej jednostki? Czegoś podobnego w swojej długiej karierze dziennikarskiej nigdy i nigdzie na świecie nie przeżyłem. Deyna miał łzy w oczach, był moment, że chciał to wszystko rzucić i samotnie wracać do domu.

W podobnym tonie "w listach do redakcji" wypowiedziało się wielu czytelników „Piłki Nożnej”. Nie wszyscy! Pan Jan Marzec zamieszkały w Chorzowie przy Placu Świętego Jana w źle pojętej reakcji na mój tekst p.t. „**Niespokojne sny**”, złośliwie napisał: *„Nie chcę, żeby kibice czytali różne bzdury i na nich kształtowali swoje poglądy... To, że Deyna jest w całej Polsce bardzo niepopularnym piłkarzem, wie każdy... Do spadku popularności Deyny przyczynił się Gmoch, jego kolega klubowy. Starał się i stara zrobić z Deyny superpiłkarza, którym nigdy nie był i nie będzie. Po ostatnim meczu z Portugalią nie powinniście więc drukować listów nieobiektywnych, szowinistycznych, w których potępia się wszystko, co „chorzowskie”... Deyna łaski nie robi”...*

Jesień 1977 roku, choć krótka – bo zima przyszła wyjątkowo wcześniej – była dla piłkarstwa pogodna i radosna. To nic, że ostatnie mecze ligowe w końcu listopada i na początku grudnia, odbywały się w niecodziennej scenerii. Wszędzie śnieg, zamiecie, wichury, lód na boiskach, ale tylko w Mielcu narzekano na zły kalendarz. Podważono tym samym priorytet reprezentacji. Zgoła inaczej przyjęto taki rozwój wydarzeń w Krakowie i Warszawie. Wisła i Legia, które dawały do

wszystkich reprezentacji najwięcej zawodników, wzniosły toasty za pomysłość drużyny narodowej, a same – mimo tak dużych świadczeń na rzecz PZPN, najwyraźniej zmierzały ku mistrzostwu Polski. Gmocha interesowała jednak przede wszystkim reprezentacja, a tu szczęście jakby zaczęło go opuszczać. Lato kontuzjowany, Szarmach daleki od formy z 1974 roku, dublerzy jeszcze za asami nie nadążają. Był już znacznie mniejszy żar w Jacka oczach: – „*Czy ja wiem – rozkładał bezradnie ręce – co jeszcze może się zdarzyć do czerwca 1978 roku?*”

W bardzo sympatycznym pojedynku ze Szwecją we Wrocławiu, poza strzelcami bramek – Markiem Kustą i Kazimierzem Deyną z Legii, podobali się jeszcze Zbigniew Boniek z Widzewa i „odkryty” przez Gmocha Tadeusz Jakubczyk z Ruchu Chorzów. Mimo pochwał bossa, zagrał jednak w reprezentacji tylko dwa razy – pierwszy i ostatni! Zdecydowanie lepszy na tej pozycji był Henryk Maculewicz z Wisły. Po wygranej ze Szwecją, Gmoch był już w znacznie lepszym humorze. W Novotelu po kolacji rozdawał kibicom autografy, a Heniowi Losce i mnie po nocach czytał fragmenty książki Waltera Winterbottoma traktującej o cechach charakterologicznych trenerów. Anglik, który na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych sam był wybitnym szkoleniowcem, wymienił tu bodajże sześć czy osiem typów selekcjonerów. Jacek zastanawiał się, który z tych portretów najbardziej do niego pasuje. Partner, dyktator czy ciepła kluska?

– Żaden z nich! – Przekonywał Gmoch nas i samego siebie. Do mnie najbardziej pasuje „twórca” – i zacierał z zadowolenia ręce. Rodzi się nowy trzon zespołu. Młody, odważny!... Widzieliście, jakie postępy poczynił Kupcewicz? Powiedziałem mu po meczu ze Szwedami: – Oby tak dalej Januszku! Wielka kariera przed tobą! Masz szansę na wyjazd do Argentyny...

Jacek tak zasmakował w przekonaniu „jestem twórcą”, że postanowił chwycić za pióro i tworzyć eseje o piłce nożnej. Najpierw sam, a nieco później wspólnie z red. Antonim Piontkiem, na łamach „Piłki Nożnej” przekazywał czytelnikom

swoje mądrości. Przy wydatnej pomocy redakcyjnej Tadeusza Olszańskiego napisał też „ALCHEMIĘ FUTBOLU”.

...Piłka jest namiętnością współczesnego świata – rozpoczął swoje wywody. – Sam należę do tych ludzi, których opętała piłka nożna... Futbol jest funkcją jednej z najbardziej naturalnych form ruchu człowieka, a mianowicie biegu. I oto mamy niezwykle proste współzawodnictwo. Bo każdy będzie chciał pierwszy dobiec do tej piłki, a także dalej i celnie ją kopać... Jest to ponadto najbardziej demokratyczny sport. Dostępny dla wszystkich. Niskich i wysokich, chudych i grubych. Każdy, bez względu na warunki fizyczne, może znaleźć dla siebie miejsce w tej grze.

Tu Gmoch nieco przesadził, zresztą w jego „Alchemii futbolu” jeszcze w „surowej wersji”, dostrzegłem sporo istotniejszych przejawów, także faktów niezgodnych z obiektywną prawdą. Poznałem te „niedoróbki” od podszewki, bo Jacek właśnie mnie powierzył zrecenzowanie swojego dziełka. Z ochotą, przy tym bardzo poważnie, przystąpiłem do tego zadania. Autor zgodził się z większością moich uwag (a było ich sporo) i uwzględnił w wersji ostatecznej, przygotowanej bezpośrednio do druku. W kilku kwestiach Gmoch był jednak nieprzejednany, chciał być nowatorski i wizjonerski. Grę w piłkę nożną usiłował utożsamić ze „sztuką wojenną”, był też przekonany, że „futbol stanie się wkrótce grą halową”.

Zbyt ryzykowne wydało mi się również stwierdzenie, że w piłce nożnej „na sukces wpływa tylko 20 procent wyszkolenia technicznego, natomiast aż 50 stan psychiczny zawodników”. Jeśli idzie o taktykę jej przyszłość upatrywał w „grze górą”, bo „dołem za ciasno”. Optowałem za jednym i drugim rozwiązaniem, dostrzegłem też możliwość doskonalenia cech motorycznych, choć tu rezerwy ludzkie są już niewielkie. Raziły też u Gmocha mało precyzyjne opisy sposobu gry niektórych drużyn. Uważał na przykład, że „Dania nie ma wysokiej techniki”,

ale... „bardzo dobrze wyprowadza atak pozycyjny. Jak to możliwe? – zapytałem. – Jacek upierał się przy swoim. Nie był w stanie mnie przekonać, bo bez dobrej techniki, praktycznie nie ma dobrego ataku pozycyjnego.

W „Alchemii futbolu” autor starał się też dowieść, że znacznie łatwiej i przyjemniej być zawodnikiem niż trenerem. Opierając się na dotychczasowych doświadczeniach, sugerował, że rok pracy z reprezentacją Polski kosztował go więcej zdrowia, niż pięć lat gry na boisku. Takich myśli zaprezentował znacznie więcej. Zapowiedział, że w wyniku wzrostu umiejętności indywidualnych i zespołowych obrońców, będzie coraz trudniej zdobywać bramki, a spotęgowany nacisk na paraliżowanie akcji ofensywnych wpłynie ujemnie na widowiskowość gry. Pocięszał jednak, że sprzęt sportowy zacznie odgrywać coraz większą rolę w rozwoju piłkarstwa, a gdy powstaną kryte stadiony, elementy widowiskowości zapewne odżyją. O wszystkim jednak nadal będą decydować ludzie. Piłkarze przyszłości osiągną wysoką sprawność fizyczną, imponować też będą bogatą wyobraźnią.

W prezentowaniu swoich idei Jacek Gmoch daleki był jednak od dogmatów. Nie ustawał w poszukiwaniu prawdy, pytał: – Co jest najważniejsze w piłce nożnej cechy motoryczne, technika, taktyka czy nastawienie psychiczne? Długo optował za priorytetem stanu psychicznego zawodników. Jednak wraz z nabywanym doświadczeniem, zmieniał w tej kwestii zdanie. Tak opisał tę ewolucję w „Alchemii futbolu”:

... „W 1974 roku po mistrzostwach świata w RFN, opublikowałem na łamach tygodnika „Piłka Nożna” cztery artykuły, napisane wspólnie z publicystą tego pisma Antonim Piontkiem, poświęcone źródłom zwycięstw i porażek... Tytuły do poszczególnych artykułów wymyślił zastępca redaktora naczelnego „Piłki Nożnej” Jurek Lechowski, dziennikarz z dużą wyobraźnią, kiedyś pracował on w „Przeglądzie Sportowym”, słynął z „bombowych” tytułów i chcąc jak najlepiej sprzedać nasze artykuły, opatrzył je bardzo sugestywnymi, świetnymi zresztą ty-

tułami. Na końcu wyszło jednak z tego, że wszystkie cztery elementy są nie tylko najważniejsze, ale i jednakowo ważne”.

Ten wywód Gmocha bardzo mnie zadowolił i w jakimś stopniu nieco utemperował jego entuzjazm, jeśli idzie o rolę „nastawienia psychicznego”. Jest bardzo ważne, ale jakie mogłyby być tego efekty, gdyby nie na miarę potrzeb reprezentacji (stawiam to w takiej kolejności) były: technika, taktyka i szeroko pojęta kondycja fizyczna? Tym trzem „zgodnym boginiom futbolu” stan psychiczny zawodników niewątpliwie jest bardzo pomocny, tworzy czwartą znaczącą wartość, ale sam w sobie istnieć nie może. W piłkę nożną najpierw trzeba się nauczyć grać i odpowiednio przygotować organizm do wysiłku fizycznego. Dopiero wtedy wsparcie ze strony sfery psychicznej będzie najbardziej pomocne i pożądane. W zdrowym ciele, zdrowy duch...

Tak czy owak dotychczasową pracę Jacka Gmocha z reprezentacją i jego spojrzenie na współczesny futbol uznałem za godne rozpowszechniania na łamach „Piłki Nożnej”. Przeprowadziłem więc merytoryczny wywiad z selekcyjnerem, poprzedzając wyświechtaną inwokacją **„Jak ocenia pan swoją dotychczasową pracę w PZPN”**. Jacek znowu spojrział na mnie z nieukrywaną złością:

– To już nie jesteśmy na ty?! Wstydzisz się bliskich kontaktów ze mną? Po blisko dwudziestu latach znajomości? Mów i pisz – Jacek!

W takiej właśnie tonacji przebiegła nasza rozmowa. Ukazała się w tygodniku we wtorek, a w piątek stała się przedmiotem dyskusji na zebraniu prezydium Wydziału Szkolenia. Zdania na temat zawartych tam treści były podzielone, ale Gmoch pozostawał przy swoim zdaniu. Wytknął Związkowi nie najlepszy styl pracy. Optował za większą odpowiedzialnością i możliwością podejmowania decyzji przez pracowników etatowych. W ogóle sprawniejszą organizację i racjonalne zarządzanie, większe kompetencje i solidniejsze wykonywanie zadań uważał za niezbędne w codziennej pracy PZPN. Mocno pod-

kreślił rolę Sekcji Reprezentacji, którą kierował. Pozbył się z niej absolwentów AWF, których – jak wówczas także wielu innych ludzi w PZPN (i nie tylko tam) – nazywał „magistrami od przysiadów”. Wypowiedział się też na temat szans naszych piłkarzy na mistrzostwach świata w Argentynie. Rozbić „wielką piątkę”: Argentyna, Brazylia, Holandia, RFN i Włochy – to był plan minimum. Wywiad miał charakter partnerski i sięgał daleko poza sprawy drużyny narodowej.

To się powinno ukazać również w „Trybunie Ludu”. Niech na szczytach władzy partyjnej wiedzą, jak się teraz pracuje w PZPN. Nie ma tu miejsca dla obiboków! – przekonywał.

„GORĄCA LINIA” Z „BIAŁYM DOMEM”

Jacek serwował nam przeróżne pomysły, lepsze i gorsze, miewał też zmienne nastroje i humory. Był wielkim marzycielem. Jeśli zdołał „złapać słuchacza”, to godzinami potrafił przekonywać go do swoich idei. Ale myśl o powielaniu wywiadu w organie partyjnym wybiłem mu z głowy. Nie mieszajmy do tego polityki. Gmoch nie za bardzo się z tym zgadzał. Lubił popularyzować „dobrą robotę”. Ale od czasu do czasu w drażliwych sprawach lub takich, których „od ręki” nie mógł sam załatwić w PZPN, podobno szukał wsparcia na szczytach władzy. Uruchamiał „gorącą linię”. W Wydziale Szkolenia tego nie odczuwaliśmy, stąd słowo „podobno”, ale w codziennych kontaktach nieustępliwość Gmocha doskwierała Zygmunтови Buhlowi, wtedy sekretarzowi generalnemu PZPN. Któregoś dnia zwierzył mi się przy kawie z koniakiem:

– Z tą „gorącą linią” Gmocha z wierchuszką partyjną i rządową to gruba przesada. Jedna z gierk Jacusia...

– Co ty?! To niemożliwe!... Taki z niego lisek chytrusek?!

– A jednak... Ostatnio jakiegoś kolejnego życzenia Gmocha, fakt – niezbędnego dla reprezentacji, nie byłem w stanie załatwić. Nie ma tego w planie finansowym Związku – powiedziałem. – Zresztą od tych spraw jest sztab przygotowań do Mundialu. Jacek się wkurzył!...

– To ja zaraz dzwonię do KC, do sekretarza Żandarowskiego – zagroził – i szybko podszedł do telefonu. Śledziłem ruchy jego palców na tarczy, bo nie dowierzałem, że zrobi to, co mówi. Też znałem numer tego telefonu... Jacek blefował! Ale rozmawiał... Z kim? Spryciarz... Ja też nie w ciemną bity. Zapamiętałem każdą cyferkę, sprawdziłem... Po drugiej stronie tej niby „gorącej linii” była Gmocha żona. Zachowałem tę „tajemnicę” dla siebie. Od tej pory jednak większość „pilnych spraw” Jacka załatwiałem wyłącznie w trybie służbowym...

Kolejnym pomysłem Jacka była zbiorowa obserwacja naszych pierwszych rywali, w grupie – już tych z puli finałowej w Argentynie: Meksyku, RFN i Tunezji. Szefem „banku informacji” był Bernard Blaut, ale Gmochowi wiedza ta nie wystarczyła. Benio miał się skupić głównie na zebraniu niezbędnych informacji o Tunezji, natomiast w „rozpracowaniu” reprezentacji RFN i Meksyku Gmochowi mieli pomóc doświadczeni trenerzy: Ryszard Koncewicz, Tadeusz Foryś, Ryszard Kulesza, Hubert Kostka, Henryk Apostel, dużo od nich młodszy Wiesław Grabowski i niektórzy działacze Wydziału Szkolenia: Henryk Loska, Wojciech Skoczek i... ja. Diety na hotel i wyżywienie zapewnione, dobry sprzęt, w tym dyktafony najnowszej generacji. Pełny komfort i profesjonalizm. Nikt nie pytał, skąd Gmoch to wszystko wytrzasnął... Wiadomo tylko, że popierali go Sznajder, Tyrański i Piszek jeden z bogatszych biznesmenów z USA.

Obserwowaliśmy dwa mecze: RFN – Brazylia w Hamburgu i Hiszpania – Meksyk w Grenadzie. Moje zadanie było proste – ogólna ocena poziomu reprezentacji RFN i Meksyku, poza tym dokładna charakterystyka zalet i wad dwóch niemieckich pomocników Heinza Flohego i Rainera Bonhofa oraz roz-

szyfrowanie stylu gry Victora Rangela, środkowego napastnika z drużyny meksykańskiej. Pomijam tu detale, informuję tylko, że jeśli idzie o Flohego, to wtedy chyba jako pierwszy użyłem dziś tak chętnie powielanego określenia „przeszedł obok gry”, natomiast Rangela porównałem z klasą i sposobem gry Władka Dąbrowskiego z Legii Warszawa. Część tego opisu wykorzystałem oczywiście na łamach „Piłki Nożnej”, co – w odniesieniu do środkowego napastnika z Meksyku – nie spodobało się zakochanemu w latynoskim futbolu, Tomaszowi Wołkowi. Wyżej cenił Rangela, zaufał jego dobrej postawie w meczach z Haiti i Salwadorem. Porównał go ze słynnym Borją. W praniu wyszło na moje, w Argentynie Rangel grał słabiej, niż nasz Dąbrowski w polskiej lidze.

Obie wyprawy, do Hamburga i Grenady, pełne były dobrych i złych przygód. Tu i tam przyjmowano nas z wyraźną sympatią. Burmistrz Hamburga zaprosił całą ekipę na wystawny obiad, a jego ludzie ułatwili zwiedzenie dzielnicy St. Pauli, uważanej nie tylko przez Niemców za „targowisko próżności”. Natomiast hiszpańscy kibice wręcz zmuszali do degustacji wina i spożywania andaluzyjskich kulinarnych przysmaków. Tam był również czas na zwiedzanie u podnóża górskich łańcuchów Sierra Nevada zabytkowego zespołu twierdz i pałaców Alhambra, o której w „Konradzie Wallenrodzie” Adam Mickiewicz pisał, że „broniła się z garstką rycerzy”. Hiszpanie przypomnieli nam, że tu właśnie przed wiekami sułtan Hassan kazał ściąć głowy swoim szesnastu synom z pierwszego małżeństwa.

Powrót z tych wojaży do kraju przypomniiał źle zorganizowany ruch partyzancki. Z Hamburga via Monachium niemal każdy z nas wracał innym samolotem. Długie oczekiwania na lotniskach. Jednak prawdziwą „drogę przez mękę” przeżyliśmy dopiero w Hiszpanii po opuszczeniu Grenady. Nie było miejsc w samolocie do Madrytu. Za część zaoszczędzonych diet wykupiliśmy więc bilety na najbliższy pociąg osobowy. Trasa piękna, egzotyczna, częste postoje, na stacjach

moc sprzedawców, sceneria westernowa. Brakowało tylko napadu na tę hiszpańską ciuchnię. Na lotnisku Barajas w Madrycie, zmęczeni jak bezpańskie psy, błagaliśmy przedstawiciela LOT-u o jakiś rejs do Warszawy.

Podrzucono nas do Wiednia. Tam znowu kilka godzin oczekiwania. Piwo, piwo i jeszcze raz piwo! Nuda. Wykorzystałem ten kolejny przymusowy postój na pogaduszki z trenerem Ryszardem Koncewiczem. Tak wylewnego i sympatycznego jeszcze go nie widziałem. Przypominał swoją młodość, grę w I-ligowej Lechii Lwów, wyraźnie się rozmarzył. Opisał też swój udział w walkach w obronie oblężonej Warszawy w 1939 roku, pobyt w oflagu w Woldenbergu, a tam obozowe mecze i zgłębianie wiedzy piłkarskiej. Potem dramatyczny powrót do kraju. Chłodno, głodno i do domu daleko... Początki pracy szkoleniowej na Śląsku, klubowe sukcesy z Ruchem Chorzów, Polonią Bytom i Legią Warszawa, współpraca z Wackiem Kucharem, Reymanem i Krugiem, wreszcie lata wzlotów i upadków w roli trenera-selekcjonera PZPN.

Ten człowiek zawsze ujmował mnie swoją niezwykłą osobowością, erudycją, kulturą, fachowością i skalą autorytetu. Teraz jednak jawił się również jako wspaniały gawędziarz i – co tu dużo mówić – w świetle tego, co usłyszałem, szkoleniowiec nie pieszczony przez los, historię i współczesność. Miał prawo być zgorzkniały i apatyczny. Nie dał tego po sobie poznać. Byłem wdzięczny wiceprezesowi PZPN Henrykowi Losce, że przywrócił „Fajce” sens wiary w ludzi, nawet w tych, którzy dość długo byli jego przyjaciółmi, uczniami, wychowankami, a teraz udawali, że go nie znają. Magister inżynier powierzając Koncewiczowi odpowiedzialną funkcję w Wydziale Szkolenia, uchronił naszego „profesora-profesorów” przed zapomnieniem. I namacił! Wkrótce „Faja” został wiceprezesem PZPN do spraw szkoleniowo-sportowych. Właściwy człowiek na właściwym miejscu! Z jego opinią liczył się nawet Jacek Gmoch.

W roku 1977 sprawy reprezentacji narodowej i jej zmagania na drodze do Buenos Aires uznano w PZPN za najważniejsze. Po zwycięskich eliminacjach już w grudniu wszechstronnym badaniom specjalistycznym poddano 40 zawodników. W sumie w notesie Gmocha „kandydaci na Argentynę” znalazło się 75 piłkarzy. To absolutny rekord, bo nawet Kazimierz Górski, gdy sięgał po sławę w piłkarskim świecie, przetestował tylko 65 kandydatów do reprezentacji, ale aż 13 na pozycję libero. Po raz pierwszy w tym gronie znalazł się junior, Andrzej Iwan z Wisły Kraków. Wtedy chłopiec niewątpliwie najbardziej utalentowany. Gmoch stawiał na niego w takim samym stopniu, jak w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych Motoczyński i Foryś na Włodka Lubańskiego.

Jacek włączył Iwana do ekipy na zimowe zgrupowanie w Jugosławii i krótki wypad kadry do Kuwejtu. Andrzej strzelił tam kilka bramek, co nie uszło uwadze dziennikarzy zagranicznych, zwłaszcza niemieckich. Gmoch starał się ukryć te wyczyny wiślaka, celowo i niewątpliwie z pewnym wyrachowaniem mówił, że to li tylko korzystny dla tego młokosa zbieg okoliczności. Musi się jeszcze dużo uczyć, aby dorównać starszym kolegom. Ale łowcy sensacji nie za bardzo w to wierzyli, nie bez podstaw pisząc, że „*Gmoch przygotowuje jakąś tajną broń i zamierza nią zaskoczyć rywali w Argentynie*”.

Jacek istotnie wiązał z talentem Iwana duże nadzieje na sukces w Argentynie, ale liczył się też z krajowymi potrzebami i realiami. Andrzej wciąż był juniorem, mocnym punktem tej najmłodszej reprezentacji, a właśnie w roku 1978 zaplanowano w Polsce zorganizowanie XXXI Turnieju UEFA. W naszych warunkach zawody piłkarskie niecodzienne i – jak dotychczas – największe. Junior z Krakowa miał być naszą sztandarową postacią w tej imprezie. Wiosną dołączył więc do młodszych kolegów, tracąc ze zrozumiałych względów szansę na występ w pierwszej reprezentacji w meczach z Luksemburgiem, Grecją, Irland-

dią oraz „olimpijczykami” Czechosłowacji i Bułgarii. Do ekipy na Buenos Aires wrócił dopiero po Turnieju UEFA.

Jednak zanim ten XXXI turniej odbył się w Polsce, rok wcześniej XXX – jubileuszowy UEFA zorganizowała w Belgii. Był to dla naszych działaczy swoisty poligon doświadczalny. PZPN w porozumieniu z Polską Federacją Sportu delegował tam dwóch naszych przedstawicieli, zastępcę sekretarza generalnego Stanisława Macieja Winczewskiego i społecznego sekretarza Wydziału Szkolenia, Jerzego Lechowskiego. Zamieszkaliśmy w centrum Brukseli, w Royal Windsor Hotel, dosłownie parę kroków od Gare Centrale i Grand Place, przy skwerze Duquesnoya. Tu urzędował sztab turnieju, tu kwaterowali też wszyscy dostojnicy UEFA i – co mnie najbardziej interesowało – umiejscowiono biuro prasowe zawodów.

Tam właśnie, zaraz po dotarciu do Royal Windsor Hotel, skierowałem pierwsze kroki. Zabrałem ze sobą butelkę „Wyborowej”, puszkę konserwowej szynki, kilka lasek kabanosów i... zacząłem się bratać z europejską „czwartą władzą”. Belgowie za kołnierze nie wylewają, przeto kolejną flaszkę podrzucił dziennikarzom Maciek Winczewski. Rewanżowali się przyjaznymi uśmiechami, informacjami, kawą z ekspresu i piwem marki Amstel. Później tego bratania się z brukselską prasą było znacznie więcej. Udana inwestycja. Miałem zapewniony wstęp na każdy dowolnie wybrany mecz (za to w kraju zwracano pieniądze) i wygodny transport luksusowymi samochodami po szerokich i mocno oświetlonych autostradach. Piwo na trasie, przed grą i po meczach stawiali gospodarze. W Antwerpii, Charlerois, Brugii, Liege i oczywiście w Lokeren, gdzie znowu spotkałem się z Włodkiem Lubańskim...

Miałem też możliwość ponownego spotkania się z Louisem Woutersem, prezydentem Belgijskiej Federacji Piłkarskiej. Od pierwszego kontaktu minęło już prawie dziesięć lat, ale nadal znaliśmy się „nie tylko z widzenia”. W roku

1967 byłem gościem pana Woutersa na wystawnym śniadanku, a późnym wieczorem odbierałem od niego gratulacje za rewelacyjny występ „biało-czerwonych” na Heysel. Przypomnijmy: Brychczy, Gmoch, Piechniczek, Lubański, Żmijewski i ich partnerzy wygrali tam 4:2! Teraz prezydent Belgijskiej Federacji dawał nam do zrozumienia, że udział w turniejach UEFA stwarza działaczom i trenerom możliwości poznania wszystkich najnowocześniejszych kierunków i tendencji w rozwoju piłkarstwa młodzieżowego.

Mnie interesowało głównie funkcjonowanie biura prasowego i nowości szkoleniowe. Trenerem nigdy nie byłem, jednak pobyt w Brukseli wykorzystałem (właściwie zaproponował to Wydział Szkolenia PZPN) również dla celów szkoleniowych. Zaraz po moim powrocie z Belgii z inicjatywy wiceprezesa Henryka Loski i przewodniczącego komisji młodzieżowej Mariana Bednarczyka zorganizowano w Mielcu naradę dla trenerów pracujących z młodzieżą. Tematów było mnóstwo, mnie powierzono omówienie jednego z nich „**Uwagi o XXX Turnieju UEFA juniorów**”. Sporo spostrzeżeń w tej materii przekazałem zainteresowanym również na łamach tygodnika „Piłka Nożna”, ale nad Wisłoką sprawę potraktowałem znacznie szerzej.

Obserwowałem w swojej karierze dziennikarskiej kilkanaście turniejów UEFA, mam więc sporą skalę porównawczą, jeśli idzie o kierunki rozwoju piłkarstwa i ewolucje w taktyce. W Belgii najlepsze zespoły preferowały ofensywny styl gry, ale miały też dobre formacje obronne. Grano „wszystkimi siłami”. Nadal obowiązywała zasada zachowania odpowiedniej równowagi między atakiem, a obroną. Większość zespołów stosowała ustawienie wyjściowe 1 + (1+3)+3+3, ale w niektórych meczach próbowano już wariantu 1+3+(1+3)+3, a więc trzech obrońców i czterech pomocników. Ustawienia 1+(1+3)+3+3 czołowe zespoły nie traktowały jako „systemowego tabu”. Był to tylko schemat wyjściowy, później – w zależności od aktualnego wyniku następowały zmiany pozycji. Niemcy

na przykład, gdy wynik był dla nich korzystny, mieli w przodzie tylko dwóch zawodników, a gdy przegrywali, trener Helmut Widmayer kierował do ataku nawet czterech graczy. Jeśli udało się osiągnąć cel, natychmiast wracano do ustawienia $1+(1+3)+4+2$.

Sporo miejsca poświęciłem stałym fragmentom gry. Już wtedy dobre ich wykonywanie dość często przesądzało o wyniku meczu. Przy rzutach z rogu zazwyczaj uczestniczyli obaj środkowi obrońcy drużyny atakującej. Rzuty wolne niemal każdy zespół egzekwował inaczej: decydowała pomysłowość, technika uderzenia i elementy zaskoczenia. Poziom zawodów był zróżnicowany. Najbardziej jednak zawiodły reprezentacje: Jugosławii, Anglii, Holandii i Włoch, a więc zazwyczaj przysłowiowe „koło napędowe” każdego turnieju UEFA. Wydolnościowo najlepiej prezentowały się: Bułgaria, Belgia i ZSRR.

Jak w tym świetle należało by ocenić umiejętności naszych juniorów? Są słabsi technicznie – to wada podstawowa. Później trudno to odrobić: przyjmowanie piłki zewnętrzną częścią stopy, stosowanie zwodów, grę pod pressingiem, a także poprawne wykonywanie wślizgów i już tradycyjnie złe uderzanie piłki głową. W taktyce obowiązuje w Europie zasada nieustępliwej walki w środku boiska, nie ma tam „ziemi niczyjej”. Każdy chce się tu jak najdłużej utrzymać przy piłce. Celowali w tym Anglicy, Niemcy i juniorzy ZSRR. Nieco więcej swobody w tej strefie boiska dawali rywalom Belgowie. Świetnie czuli się w kontrataku.

Czy przed XXXI Turniejem UEFA, który w roku 1978 odbędzie się w Polsce, zdołamy odrobić choćby część dystansu dzielącego naszych juniorów od europejskiej czołówki? Trzeba położyć większy nacisk na kształtowanie wszechstronności w wyszkoleniu. Gramy zbyt jednostronnie i defensywnie. Tymczasem w Belgii przeważa styl ofensywny, nie było murowania bramki. Turniej UEFA jest imprezą dla najlepszych – słabsi, niedouczeni technicznie i taktycznie odpadają już we wstępnych eliminacjach. W puli finałowej kondycja potrzebna jest

na pięć spotkań. Młodzi są prekursorami zmian w taktyce. Libero zaczyna się pojawiać również w drugiej linii. W napadzie coraz wyraźniej zanika tradycyjna funkcja środkowego napastnika. Natomiast wzrasta rola skrzydłowych. W pewnych fragmentach gry ich zadania coraz częściej przejmują skrajni pomocnicy lub boczni obrońcy. Nasila się wymiennosc funkcji.

Uczestnicy narady w Mielcu przychylnie ustosunkowali się do moich spostrzeżeń. Spotkanie zakończyło się wspólnym obiadem. Były toasty. Wesoły był więc powrót do domów. Niektórzy odczuwali jednak potrzebę kontynuowania tak pięknie rozpoczętego dnia. Przewodniczący sekcji młodzieżowej był tu najaktywniejszy. Zarządził postój w Radomiu. Kierowca „Mirafiorii” podjechał pod restaurację „Europa”. Dzień powszedni, mimo to ludzi pełno. Wszystkie stoliki zajęte, miejsca brak. Gra orkiestra. Atmosfera zachęcająca, ale piekli się Loska:

– Szkoda czasu, wracamy do domu!...

– Tylko bez nerwów. Tak?!.. Marianek prosi o spokój. Tak?! Zaraz wszystko się załatwi, tak! – zapewniał Bednarczyk. – Hallo, kelner! Zawołajcie mi tu kierownika! Powiedźcie, że pułkownik go wzywa...

Marianek lubił szarżować i podkreślać swoją uprzywilejowaną pozycję w każdym towarzystwie, choć wzrost go do tego nie upoważniał. Był pułkownikiem MSW, konkretnie naczelnikiem w Biurze Ochrony Rządu. Jednak ani razu nikt z nas nie widział go w mundurze. Chyba dlatego, że był niższy od Napoleona, a tuszą dorównywał sierżantowi Garcia ze „Znaku Zorro”. „Chody” miał jednak typowe dla tamtych czasów. Znalazł się dodatkowy stolik tuż przy orkiestrze. Przygrywała do tańca tak głośno, że aż uszy pękały. Nie lubię takich hałasów. Pytam więc kapelmistrza, czy nie mogliby grać trochę ciszej. Udał, że nie dosłyszał. Pytam więc jeszcze raz:

– Czy mogę prosić o jakąś spokojniejszą melodię nie koniecznie do tańca? Zapłace...

– To kosztuje sto złotych! Jest jakieś konkretne zamówienie?

– Jest... A gdybym poprosił o dołączenie do melodii życzeń dla wskazanej osoby?...

– To druga „stowa”!

Przystałem na te warunki, sięgnąłem po portfel, przygotowałem kasę i... na cieniutkiej serwetce spisałem życzenie. Kapelmistrz dał stosowny znak perkusście, a ten z fantazją trzasnął w miedziane czynele. Coś się dzieje? Muzyk czyta, goście słuchają:

...Dla syna Ziemi Radomskiej, pułkownika Mariana Bednarczyka, który w czasie niemieckiej okupacji był tu partyzantem i życie narażał po to, abyśmy dziś mogli się tu dobrze zabawić, pojeść i popić, tę oto melodię wraz z najlepszymi życzeniami, przesyłają koledzy z Mazowsza.

Z kącika, gdzie dotychczas hałasowała orkiestra, popłynęły smutne tony pieśni chłopców z lasu: *„My ze spalonych wsi, my z głodujących miast. Za ból, za krew, za lata łez, już zemsty nadszedł czas”*... Marianek nie dostrzegł w tej „zagrywce” żadnego podstępu. A powinien, bo przed rokiem właśnie w Radomiu władza, o którą walczył, zgotowała protestującym robotnikom nieludzkie „ścieżki zdrowia”. Bednarczyk usłyszawszy swoje nazwisko i słowa uznania za konspiracyjną działalność, zerwał się z krzesła, wyprostował, uśmiechnął i zaczął się wszystkim nisko kłaniać. Cisza, nikt nie klaszcze. A Marianek wciąż się kłaniał, kłaniał, kłaniał...

Działacze centralnych władz sportowych i piłkarskich od dawna upatrywali we mnie kandydata na rzecznika prasowego. Także nowy prezes PZPN, Edward Sznajder nieśmiało zapytał, czy nie podjąłbym się tej społecznej funkcji. Rychło zorientowałem się, że ten niefortunny pomysł podsunął prezesowi Henryk Loska. Co mu strzeliło do głowy? Grzecznie odmówiłem. Jednak z racji funkcji sprawowanej w Wydziale Szkolenia nie mogłem odmówić pie-

czy nad biurkiem prasowym. W ten sposób stałem się jednym z członków Centralnego Komitetu Organizacyjnego odpowiedzialnym za informacyjną i medialną stronę XXXI Turnieju UEFA. Wykorzystałem tu doświadczenia zdobyte przed rokiem w Belgii.

Przygotowanie naszej reprezentacji do XXXI Turnieju UEFA dość niespodziewanie powierzono trenerowi, Edmundowi Zientarze. „Niespodziewanie”, bo dotychczas pracował wyłącznie z seniorami w Legii, Pogoni Szczecin i Stali Mielec, wszędzie zresztą osiągając znaczące sukcesy. Kontakty Zientary z piłkarską młodzieżą ograniczały się wyłącznie do czasów, kiedy sam był juniorem i... nazywał się Andrzej Szczepański. Jego partnerem w reprezentacyjnym zespole był wtedy (Jak to dawno? – W roku 1947!) Ryszard Kulesza. Asystentem „Andrzeja” był teraz już dobrze obeznany z pracą z juniorami Henryk Apostel. Co wywalczą? Choć zarząd PZPN nie wymagał od nich zwycięstw za wszelką cenę, w Wydziale Szkolenia postanowiliśmy sprawę jasno: – *Macie przebić „Portugalczyków”!. A więc zdobyć złoty medal...*

Nie były to mrzonki, pomysły chorej wyobraźni, mierzenie sił na zamiary. Wielu kandydatów do reprezentacji juniorów miało już za sobą udane debiuty w I lidze, Andrzej Iwan nawet w kadrze narodowej. Dobry rocznik, chłopcy utalentowani. Aż 8 z nich: Jacek Kazimierski, Andrzej Buncol, Krzysztof Baran, Kazimierz Buda, Andrzej Iwan, Mirosław Pękala, Andrzej Pałasz i Piotr Skrobowski występowało później w pierwszej reprezentacji Polski. A przecież równie dobre, jak oni – „papiery” na grę w piłkę nożną mieli: Marek Chojnacki, Krzysztof Kajrys i Joachim Hutka. Na własnych boiskach najpierw w grupie eliminacyjnej łatwo powinni sobie poradzić z Hiszpanią, Turcją i Anglią, a potem zwycięsko przebrnąć przez półfinał i finał.